

DYSKUSJE I POLEMIKI

MARCIN KULA

HISTORIA A SOCJOLOGIA

„Mało który ambitny, teoretyzujący historyk potrafił się powstrzymać od napisania lub choćby tylko wygłoszenia eseju na temat historii i socjologii, choć rozgraniczenie tych i innych dyscyplin jest chyba mniej istotne od poszukiwania tematów wspólnych i wzajemnego podglądania metod i korzystania z doświadczeń”

Antoni Mączak, *Rządcy i rządzeni*,
PIW, Warszawa 1986, s. 274.

Przekonany o zbieżności historii i socjologii studiowałem oba te kierunki równocześnie. Były to jednak wówczas (1960—1967) bardzo kontrastujące ze sobą sekcje. Na Historii uczono dobrego rzemiosła; wychowywano rzemieślników umiejących opisać „fakt historyczny”. Przy całej nieprecyzyjności tego ostatniego terminu, jest jasne, iż przedmiot badania przezeń określany musiał być ściśle zdefiniowany w kategoriach czasu i przestrzeni. Szerszych problemów, istotnych dla różnych epok bądź dla różnych terenów, podczas tych studiów się nie dostrzegało.

Na Socjologii było odwrotnie. Ceniona była refleksja ogólna, trudno weryfikowalna, bo nie znajdująca punktu zaczepienia w konkretnych sytuacjach społecznych. W modzie była refleksja metodologiczna — tyleż cenna w wydaniu wybitnych pracowników naukowych, co trochę bezcelowa w masie studenckiej nie posiadającej jeszcze własnego doświadczenia badawczego.

Na te cechy kierunków studiów nakładały się sprawy ludzkie. Moi nauczyciele-historycy socjologów nie cenili. Patrzyli na nich trochę jak na twórców „ogólnych teorii wszystkiego”. Zbyteczne dodawać, że ja sam się nadmiernie studiowaniem tego drugiego kierunku nie chwaliłem; formalności związanych ze wstąpieniem na Socjologię, do czego były potrzebne różne zgody z Historii, do końca nie załatwiłem chyba nigdy — co nie przeszkodziło mi, dzięki błogostawionemu bałaganowi, odbyć całego kursu i uzyskać magisterium.

Na socjologii stosunek do historii i historyków był trochę odmienny — choć o podobnych konsekwencjach. Poza chwalebnyymi wyjątkami na widok książek historycznych wruszano tu ramionami („takie szczegółowe sprawy!”). Często natomiast dyskutowano temat „Historia a socjologia” bądź „Socjologia a historia” — co skądinąd nie było specyfiką tego akurat środowiska (pozycji bibliograficznych o takich tytułach można wskazać wiele). Na dyskusjach jednak wszystko się kończyło — jeśli nie liczyć przypadkowego i najczęściej właśnie ahistorycznego odwoływania się do przypadkowo dobranych „faktów historycznych”, potrzebnych jako materiał do jakichś rozważań. O reprezentowanej na Socjologii Historii Myśli Społecznej tu nie mówię — jako o dyscyplinie historycznej z natury rzeczy.

Dziś, po wielu latach praktyki zawodowej, widzę, że zarówno jedne, jak drugie studia nie całkiem adekwatnie odzwierciedlały rzeczywisty stan obu dyscy-

plin. W praktyce twórczej mimo wszystko nie były one aż tak od siebie odległe, jak się wówczas mnie, studentowi, wydawało. Historycy wtedy właśnie rozwijali korzystające z dorobku socjologii badania struktury społecznej czy marginesu społecznego. Tendencja do rozważań z zakresu „ogólnej teorii wszystkiego” i odchylenia metodologicznego wśród socjologów płynęła częściowo z warunków, w jakich naszym nauczycielom przyszło pracować. Gdy otworzyły się większe możliwości, wielu metodologów, czy to spośród badaczy, czy spośród ówczesnych studentów, okazało się bardzo twórczymi obserwatorami rzeczywistości w jej jak najbardziej konkretnych przejawach. Podczas studiów nie dostrzegałem, że metodologia była dla nich poniekąd schronieniem, a zainteresowanie nią ucieczką — co oczywiście nie przeczy, że mogli się zagadnieniami metodologicznymi realnie interesować i twórczo na tym polu pracować.

Dziś wielu socjologów interesuje się problematyką historyczną. Zwłaszcza pod wpływem procesów lat osiemdziesiątych niejedyn z nich uprzytomnił sobie, iż poznanie historii, w szczególności najnowszej, jest niezbędne dla zrozumienia zjawisk współczesnej Polski. Z kolei historycy dostrzegli, że liczne sprawy współczesne są kontynuacją, a nawet ukoronowaniem tych, którymi się zajmowali. Nawet bariery instytucjonalne, tak w Polsce silne, ulegają jakby obniżeniu: od paru lat, z inicjatywy Tadeusza Łepkowskiego i Janusza Goćkowskiego, działa wspólna komisja Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Jakimś czynnikiem łączącym było chyba to, że zarówno wobec historyków, jak socjologów społeczeństwo ze wzmoczoną siłą wysunęło postulat wytłumaczenia otaczającego świata.

Przyjrzyjmy się systematycznie, jakimi drogami historia może pójść i iść ku socjologii. Nie są to bowiem tylko drogi historii najnowszej, a proces zbliżania się obu dyscyplin nie jest wyłącznie polskim procesem lat osiemdziesiątych.

Zauważono swego czasu, iż „Socjolog to taki historyk, któremu nie chce się pracować, historyk to socjolog, któremu nie chce się myśleć” (Donald R. MacRae, cyt. za: J. Szacki, *Socjologowie wobec historii*, [w:] *Teoria i badania socjologiczne a praktyka społeczna*, red. A. Kwilecki, PWN, Warszawa 1972, s. 355). Niezależnie od tego, w jakim stopniu owe słowa były prawdziwe w chwili gdy zostały wypowiedziane (1956), dziś już nie są prawdziwe na pewno — przynajmniej jeśli chodzi o historyków. Faktografia — ta wymagająca pracy w miejsce myśli — nie jest obecnie w modzie. Na spotkanie socjologii wychodzi silnie obecnie zaakcentowana wśród historyków tendencja do ogólnej refleksji nad przesłankami powstania świata w jego dzisiejszym kształcie. Braudelowskie zalecenie zajęcia się zjawiskami o długim trwaniu, wallersteinowska refleksja nad mechanizmem powstawania nierówności rozwoju gospodarczego, w Polsce M. Małowista studium nad podziałem Europy na Wschód i Zachód — stanowią *pars magna* wymienionej tendencji. W szukaniu odpowiedzi na pytanie, jak powstał dzisiejszy świat zakwestionowaniu ulega coraz więcej historycznych przesłanek dotychczas uznawanych za oczywistości. My, w Polsce, przyzwyczailiśmy się do rozważań nad przyczynami, dla których nasz kraj skleił się po 1918 r. Dyskusje nad tym, co stanowi o polskości, prowadzi się w polskiej diasporze; co o żydowskości — w żydowskiej. Miejsce swojej stolicy stawiali pod znakiem zapytania Turcy i Brazylicyzy, a obecnie Argentyńczycy planują przeprowadzkę. Tymczasem Fernand Braudel ta-

kie właśnie pytania postawił w odniesieniu do Francji! W swej ostatniej książce *L'Identité de la France* (1986) zadał pytanie o przesłanki jedności kraju, gdzie każdy ma *son pays*, gdzie co krok jest inny krajobraz i co krok produkuje się inny ser, czy inne wino. Zapytał, co by było gdyby nie Paryż był stolicą, lecz, powiedzmy, Reims, czy, dla kontrastu, jakiś port morski. W odniesieniu do Francji, o której każde dziecko wie, iż jest *une et indivisible*, która nie była krajem przez historię miotanym, takie pytania są podwójnie charakterystyczne dla referowanej tendencji. Im więcej takich pytań zadamy nawet w sprawach pozornie oczywistych, tym lepiej zrozumiemy jak powstał obecny świat — a więc dlaczego jest jaki jest i, w konsekwencji, jaki jest oraz jakie są długofalowe tendencje jego ewolucji. Socjologowie czy ekonomiści nam tylko podziękują.

Drugą drogą, jaką historia zbliża się do socjologii, jest stosowanie podejścia problemowego. Tylokrotne ironizowanie przez przedstawicieli innych nauk społecznych na temat studiowania przez historyków jednostkowych zdarzeń przestaje być zasadne, gdy poznanie faktu przestaje być celem samym w sobie (choć i tej warstwy pracy historyka nie lekceważyłbym), lecz staje się źródłem dla lepszego rozpoznania, zrozumienia, ilustracji określonego problemu — gdy badanie staje się swego rodzaju *case study* szerszego zagadnienia. Analiza każdego, nawet najbardziej szczegółowego, faktu historycznego wnosi materiał do szerszych uogólnień. Rozpętana swego czasu na łamach „Polityki” dyskusja o sensie robienia pracy doktorskiej o grze w palanta była klasycznym przykładem niezrozumienia tego. Niezależnie czy praca, która pechowo dla swego autora przyciągnęła akurat uwagę felietonisty, była dobra czy zła, temat sam w sobie nie był absurdalny — podobnie jak nie jest absurdalnych wiele innych tematów prac doktorskich, nad których szczegółowością wydziwiają czytelnicy gazet. Każde bowiem, powtórzmy, najbardziej szczegółowe wydarzenie historyczne może być punktem wyjścia do analizy spraw ogólniejszych lub, symetrycznie, dla weryfikacji ogólnych teorii.

Historycy coraz częściej patrzą na przedmioty swoich badań w perspektywie problemowej. W Polsce najlepszym z niedawnych przykładów owej ewolucji jest chyba książka Antoniego Mączaka *Rządzący i rządzani* (1986), przez analizę instytucji nowożytnego państwa wnosząca wkład do teorii państwa, a jednocześnie weryfikująca istniejące teorie na konkretnym przykładzie. Prawda, że niekiedy problemowe podejście wciąż bywa powierzchowne i wyraża się przede wszystkim nadaniem pracy ogólnego tytułu pod presją wydawców, którzy ze względów handlowych wolą, by właściwy, konkretny temat znalazł się w podtytule. Czasem taka operacja w ramach tytułu dokonywana jest pod presją snobizmu. Niezależnie od przyczyn, nawet takie ozdobnikowe zabiegi są jednak zjawiskiem pozytywnym. Z czasem, miejmy nadzieję, będzie coraz więcej historyków chcących prowadzić badania nie tylko dla „zapełnienia luki” w obrazie przeszłości.

Jeszcze jedna uwaga: historia problemowa likwiduje fałszywy dylemat, przed którym często stają historycy: jak dalece wchodzić w szczegóły w referowaniu. Ileż to razy słyszemy rady, by naszych książek „nie przeciążać szczegółami” oraz krytyki za „przeciążanie”. Otóż gdy nasza praca służy zrozumieniu jakiegoś problemu, szczegół odgrywa rolę inną niż kolejnego kamyczka w układanej mozaice. Jeśli pozwala zrozumieć rozpatrywany problem bądź lepiej go zilustrować, by czytelnik łatwiej go zrozumiał — powinien się w książce znaleźć.

Trzecia droga zbliżenia historii do socjologii prowadzi poprzez czynienie uogólnień na podstawie metody porównawczej. O ile synchroniczne porównania zjawisk występujących na różnych terenach są już metodą od dawna uznaną, to

porównania diachroniczne prowadzone są rzadziej. Otóż w moim przekonaniu nie ma teorii żadnego zjawiska bez uwzględnienia dawniejszych — obok współczesnych — form jego występowania. Rozpatrywanie zjawiska „x” tylko w jego dzisiejszych przejawach jest na ogół rozpatrywaniem tylko części tego zjawiska. Dla zrozumienia każdego „x” — nie tylko z zakresu dziejów ludzkich — wskazane jest uwzględnienie różnych przejawów i form jego występowania. Dla zrozumienia zjawisk społecznych wskazane jest uwzględnienie w refleksji ich odpowiedników, czy zjawisk tej samej klasy, nie tylko na różnych terenach, lecz także w innych czasach.

Zdaję sobie sprawę, iż porównania diachroniczne przedstawiają szereg ogromnych trudności. Cały dotychczasowy styl uprawiania naszej dyscypliny skłania do specjalizacji w zagadnieniach określonego miejsca i czasu. Trudności językowe, bariera znajomości bazy źródłowej, specyfika badań nad poszczególnymi epokami historycznymi, konieczność znajomości kontekstu, w jakim interesujące badacza zjawisko występuje — nie ułatwiają wyjścia historyków poza „swoje podwórko”. Doba ma, jak wiadomo, tylko 24 godziny, co czyni, iż, jakby to przykre nie było, pójście „wszerz” musi być sprzeczne z pójściem „w głąb”. Wysoki standard naszej dyscypliny, z którego ukształtowania można się tylko cieszyć, potępia powierzchowne „ślizganie się” po zagadnieniach, nawet jeśli postulat wykorzystania całości bazy źródłowej w odniesieniu do epok nowszych jest nieuniknienie li tylko ozdobnikiem podręczników metodycznych.

Środowisko historyków tradycyjnie ceni bardziej ciekawe źródła niż mądre myśli — co ma tę dobrą stronę, iż nieraz chroni przed zalewem naukowej hochsztaplerki (kryteria mądrości myśli są bardziej dyskusyjne niż wartość źródeł!), ale też nie ułatwia stosowania postulowanego tu podejścia. Historyk prawdziwie zafascynowany łatwo daje się wciągnąć w studium konkretnego przypadku, przez całą swoją formację ukierunkowany jest ku badaniu monograficznemu; przykro mu porzucić zjawisko, w którego badanie dopiero zaczął wchodzić nawet dla podobnego w innym miejscu i czasie — nie mówiąc o tym, że żal mu książki, która potencjalnie zaczyna się zarysowywać nawet po krótkim okresie studiów, książki, w której można by spożytkować całą nabytą, a w innym wypadku idącą na zmarnowanie, wiedzę o okolicznościach towarzyszących zjawisku i całej epoce.

Do trudności „technicznych” dołączają się merytoryczne. Jak przełożyć postulat poznania zjawisk „tej samej klasy” (innych przejawów tego samego zjawiska) na dyrektywę badawczą? Gdzie ustalić granicę „tej samej klasy”? Badając prawidłowości ruchów rewolucyjnych na ogół pomijamy ruchy średniowiecznych sekt religijnych. Jakkolwiek one również działały w kierunku przekształcenia ładu społecznego, wyczuwamy, że były jakościowo inne od rewolucji nowożytnych. Dla tego samego powodu pomijamy na ogół tzw. wielką kolonizację grecką, gdy interesujemy się prawidłowościami ruchów migracyjnych. Nie uwzględniamy niewolnictwa starożytnego ani nowożytnego przy analizie współczesnych, może nieraz nawet bardziej ohydnych wypadków posługiwania się paraniewolniczą siłą roboczą. Wszystkie te ograniczenia pola badawczego są jednak dyskusyjne; często dyktowane są jedynie przez konwencję.

Dalsza trudność merytoryczna wynika z uwikłania interesujących badacza zjawisk w kontekst sytuacyjny. Te same zjawiska w różnych czasach, na innym terenie, wśród innych procesów, przestają być „tymi samymi”. Ponieważ zaś zjawiska społeczne nigdy nie występują w izolacji, jest to trudność ogromna. Jeśli się nie chce z jej powodu popaść w ahistoryczność, warto mieć w pamięci prze-

strogę Stefana Kieniewicza: „Porównywanie dziejów różnych narodów ma rację bytu, gdy wchodzi w grę podobne społeczeństwa w analogicznych epokach. Bezcelowe byłoby porównywanie naszych losów z losami zaginionych ludów starożytności, albo z dzisiejszymi losami krajów Trzeciego Świata. Warto natomiast zastanawiać się, dajmy na to, nad paralełą nowoczesnych dziejów Polski, Ukrainy, Irlandii” („Polityka” 11 X 1986). Warto mieć tę opinię w pamięci, nawet jeśli samemu nie miałyby się — jak piszący te słowa — nic przeciwko porównaniom akurat Polski z wieloma krajami Trzeciego Świata.

Kolejna trudność merytoryczna w prowadzeniu badań porównawczych wynika z faktu, iż wystąpienie zjawisk wywiera modyfikujący wpływ na analogiczne zjawiska późniejsze. W badaniu rewolucji przemysłowej trzeba uwzględnić zarówno przypadek angielski, jak japoński. Jest jednak oczywiste, że powstanie cywilizacji przemysłowej w Anglii dogłębnie zmodyfikowało proces uprzemysłowienia Japonii. Każda rewolucja jest inna od poprzedniej m.in. dlatego, że dziedziczy doświadczenia tej ostatniej (a nieraz i poprzednich). Ukształtowanie się europejskiego modelu narodu zdeterminowało w jakiś sposób inne procesy narodotwórcze. Prawidłowości ruchów migracyjnych ulegają modyfikacjom pod wpływem działań prawodawcy uwzględniającego dotychczasowe skutki przemieszczeń ludności.

Jeszcze jedno ryzyko podejmowania prób porównawczo-uogólniających wynika z tego, iż niezwykle łatwo zabrnąć przy nich w banał. Im wyższy szczebel uogólnienia — tym większe ryzyko banału. Na najwyższym dojdziemy do prawdziwego skądinąd wniosku, że wszyscy ludzie są w jakimś stopniu do siebie podobni bowiem biologiczny mechanizm narodzin, podtrzymywania życia, przekazania go następnemu pokoleniu i śmierci jest u wszystkich taki sam.

Uczyniwszy wszystkie powyższe zastrzeżenia trudno się przecież powstrzymać przed obserwacją, że np. faszyzmu w jego całokształcie nie da się zbadać tylko na przykładzie jednego epizodu historycznego i to tylko w Niemczech. Szczególnej roli inteligencji w niektórych sytuacjach historycznych — by dać inny przykład — nie da się zdefiniować tylko na przykładzie Polski XIX i XX w. Stwierdzenie przez René Girarda podobieństwa oskarżeń wysuwanych w historii przeciw Żydom i oskarżeń wysuwanych przeciw chrześcijanom w starożytnym Rzymie ogromnie dużo mówi o naturze zjawiska kozła ofiarnego. Zjawiska rewolucyjne mają elementy wspólne niezależnie od czasu i miejsca występowania. („Aby dojść do ogólnej teorii rewolucji, trzeba je z sobą porównywać” — pisał Stefan Czarnowski, *Dzieła*, t. II, PWN, Warszawa 1956, s. 234).

Przy wszystkich obawach, jakie zasadnie można żywić wobec metody porównawczej, zdaje się być ona jedną z najważniejszych dróg zbliżenia historii do modelu nauk teoriiotwórczych — analizujących problem (zjawisko) w miejsce konkretnych wydarzeń, usiłujących doszukać się prawidłowości w pozornym chaosie, jakim są ludzkie dzieje, dopracowujących się też ogólniejszych w miejsce gromadzenia (prawda, że coraz bardziej wymyślnymi metodami) wiedzy o jednostkowych faktach. Stefan Czarnowski pisał pod koniec lat dwudziestych: „Na podstawie swych badań historyk może skonstruować tylko syntezę w czasie — może określić, jaki kierunek stały ma, dajmy na to, rozwój narodu polskiego, czy francuskiego, czy nawet Europy. Jego wnioski jednak dotyczące się tej ostatniej nie będą miały zastosowania do Ameryki czy Chin, chyba że sięgnie on do metody porównawczej. Z tą jednak chwilą przestaje on być historykiem, a staje się socjologiem” (*Dzieła*, t. V, PWN, Warszawa 1956, s. 88). Od czasu napisania tych słów metoda porównań diachronicznych stała się uznaną metodą badań nad procesami

uprzemysłowienia, kształtowania się i zachowań klas społecznych, społecznej patologii w różnych jej przejawach, historii miar, by ograniczyć się do kilku zróżnicowanych przykładów.

W polskiej historiografii zupełnie ostatnich czasów warto zwrócić uwagę na kilka idących w rozważanym kierunku inicjatyw zbiorowych. Czytelnikowska seria „Wielkie problemy dziejów człowieka” grupuje tomy, których autorzy z założenia nie ograniczają się do badania jednego czasu i miejsca, lecz rozpatrują zjawisko w jego przejawach występujących na różnych terenach i w różnych czasach. Dotychczas ukazały się opracowania: Jana Baszkiewicza o rewolucjach burżuazyjnych, Antoniego Mączaka o podróżowaniu jako zjawisku historycznym, Jerzego Kłoczowskiego *Od pustelni do wspólnoty* oraz Izy Biezuńskiej-Małowist i Mariana Małowista *Niewolnictwo*. Seria ta jest przedsięwzięciem bardzo ciekawym, przyszłościowym i można tylko żałować, iż nie ludzkości wprawdzie, lecz Polski wielkie problemy sprawiły, że kolejne tomy ukazują się tak powoli. Inną, wartą zasygnalizowania, inicjatywą są konferencje wyżej wspomnianej wspólnej komisji Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, dające okazję do przedstawienia referatów zgrupowanych wokół wybranej tematyki, a dotyczących różnych terenów i czasów. Dotychczas (wrzesień 1987) odbyły się trzy posiedzenia komisji — pierwsze, niejako wstępne, nt. *Historia i socjologia. Pokrewieństwa i odmienności* (1984), drugie nt. więzi narodowej (1985) i trzecie pod tytułem *Jak się rodzą rewolucje* (1986). Czwarte, zapowiedziane w niezbyt odległym terminie, spotkanie ma być poświęcone funkcjonującym w różnych krajach i w różnych środowiskach wizjom ojczyzny. *Last but not least*, warto zwrócić uwagę, iż podczas ostatniego (poznańskiego) Zjazdu Historyków wiele tematów reprezentowało ujęcia ogólne i przekrojowe w skali chronologicznej.

Czwarta droga zbliżenia historii do socjologii prowadzi poprzez włączanie się historyków do badań współczesności. Rzeczywistość społeczna nie dzieli się na to „co dawniej” i to „co teraz”. Co obserwujemy dziś, jutro staje się historią. „Dziś” jest przedłużeniem i wynikiem „wczoraj”. Najbardziej odcinająca się od przeszłości współczesność nie jest od niej wolna. Nawet najbardziej radykalne rewolucje, te, których „dłoń zmiata ślad przeszłości”, nie budują na surowym korzeniu. Zresztą i tak nie można by ich zrozumieć, gdyby nie zadać pytania, jak wyglądała przeszłość, przeciw której występowały lub występują. Z kolei historyk w wielu wypadkach potrzebuje wiedzy o współczesności — by przez poznanie „punktu dojścia” rozważanych przez siebie procesów lepiej je zrozumieć. Przez swą znajomość dziejów może być dla badania współczesności użyteczny — przez ukazanie jej w niezbędnej perspektywie, przez umiejscowienie jej na tle dawniejszych, porównywalnych procesów, przez możliwość interpretacji w kategoriach ogólniejszej wiedzy o działaniach ludzkich. Są też historycy — wbrew pozorom — nieźle przygotowani do badania współczesności. Są wytrenowani w interpretacji czy to szerszych zjawisk społecznych, czy wydarzeń politycznych. Umiejętność prowadzenia badań krytyczno-źródłowych także predestynuje ich do analizowania współczesności.

Zaangażowanie historyków w rozważanym kierunku ma w Polsce dobre tradycje. Nasz patron Lelewel uważał badanie współczesności za równoważną powinność dziejopisa, a natchnione przezeń środowisko Filomatów podejmowało właściwe po temu działania. W późniejszych czasach przynajmniej raz zdarzyło się, że istotną część środowiska historycznego podjęła — i to ze zwracającymi uwagę rezultatami — analizę wydarzeń bieżących. Biuro Informacji i Propagandy KG AK, placówka obciążona m.in. gromadzeniem i opracowywaniem informacji o sta-

nie okupowanego kraju, była prowadzona w dużym stopniu przez historyków. Warto w tym kontekście wspomnieć też dwie inicjatywy indywidualne z okresu okupacji: we Włochach pod Warszawą Ludwik Landau (ekonomista i historyk, skądinąd również związany z BIP) pisał swą *Kronikę lat wojny i okupacji*, zaś z drugiej strony dzielącego Warszawę muru Emanuel Ringelblum zbierał dokumentację i analizował codzienną rzeczywistość getta. Trudno mi też nie wymienić własnego Ojca — Witolda Kuli — badań nad zmianami ludnościowymi w Warszawie w początkach okupacji i jego udziału w podjętych przez środowisko Krzywickiego badaniach nad poziomem życia ludności okupowanego miasta — nie mówiąc o późniejszej, wraz z kolegami, pracy w BIP-ie czy redakcji „Biuletynu Informacyjnego”.

Rozważana tradycja utrzymała się i później, dając o sobie znać zwłaszcza w analizie zjawisk społecznych przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nie wchodząc w nadmierne szczegóły zasygnalizujemy tylko, że analizy dotyczące okresu 1980—1981, które wyszły spod pióra polskich czy obcych historyków (zwłaszcza Timothy'ego Garton Asha, Jerzego Holzera, Tadeusza Łepkowskiego, Martina Malii) potwierdziły, iż historyk umie analizować współczesność, zaś jego perspektywa czyni analizę ciekawą. Chciałoby się mieć nadzieję, że udział historyków w badaniu współczesności będzie się rozszerzał i występował nie tylko w dramatycznych okolicznościach. W każdym razie postawa ograniczania się przez historyków do badania przeszłości i mówienia społeczeństwu, że te badania służą także rozumieniu współczesności, jest swego rodzaju wygodnictwem: przerzuceniem na czytelników intelektualnego trudu, który właśnie historyk, zbrojny w swą wiedzę o doświadczeniu ludzkości i metodę analizy krytyczno-źródłowej, mógłby podjąć.

Piąta droga zbliżenia historii do socjologii prowadzi poprzez uwspólnienie metod badawczych. Takie techniki, jak wywiad czy ankieta są już powszechnie przyjęte przez historyków czasów najnowszych. Także rozpowszechnione wśród socjologów za sprawą Znanieckiego badanie tzw. dokumentów osobistych (pamiętników, listów) jest wśród historyków oczywistością. Niejeden z takich dokumentów oni odkryli czy ogłosili drukiem. Sam miałem kiedyś przyjemność uczestniczyć w publikacji i analizie listów emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych z końca XIX w. i byłem pod wrażeniem, jak bogaty to jest materiał. Bogaty nie tylko dzięki informacjom przekazanym *expressis verbis* (choć i tych nie można lekceważyć), lecz także na skutek informacji przekazywanych *implicite*, bezwiednie, poprzez milczące założenia, kładzenie nacisku na określone sprawy, nieraz nawet przemilczenia. Historycy nigdy nie posunęli się do krytyki „znanieczczyzny”, co zdarzyło się wśród socjologów — i to z mało oczekiwanej strony — w latach pięćdziesiątych.

W zakończeniu warto zwrócić uwagę, że nie tylko historia zbliża się ku socjologii, ale następuje także proces odwrotny. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych ukształtował się kierunek, który można by nazwać socjologią historyczną, operujący przede wszystkim metodą analizy porównawczej. Znakomitym przykładem może być tutaj szeroko znana książka Thedy Skocpol zawierająca rozważania nad teorią rewolucji prowadzone na przykładach rewolucji francuskiej, rosyjskiej oraz chińskiej (*States and Social Revolutions*, Cambridge UP 1979). Także w niektórych szczegółowych dyscyplinach prowadzonych w świecie badań socjo-

logicznych nastąpiło ogromne ich uhistorycznienie. Przykładem socjologiczne badania nad imigracją i imigrantami. W kontekście tych ostatnich warto wspomnieć niedawno opublikowaną książkę Ewy Morawskiej — naszej koleżanki do niedawna z Warszawy (poniekąd Poznania), a obecnie z Filadelfii — o słowiańskich imigrantach do Stanów Zjednoczonych (*For Bread with Butter*, Cambridge UP 1988).

W Polsce „socjologia historyczna” (nawet jeśli bez takiej nazwy) ma ogromną tradycję, poczynając od Krzywickiego i Czarnowskiego. Z czasem tradycja ta jednak osłabia, zaś duchowy testament „ojców-założycieli” nie został w moim przekonaniu wykonany. Wiązało się to zarówno z ewolucją socjologii światowej, jak, w większym zapewne stopniu, z pokreconymi losami socjologii polskiej. Jakie by nie były przyczyny, pozostaje wszakże faktem, że wśród socjologów niewiele powstało książek, takich jak Niny Assorodobraj *Początki klasy robotniczej* (oddana do druku w 1938 r., opublikowana w 1946 r. nakładem Czytelnika, w drugim wydaniu przez PWN w 1966 r.), napisana przez socjologa książka historyczna, swoista realizacja testamentu Czarnowskiego, którego pamięci została nb. przez autorkę poświęcona.

Jeśli pominąć z natury pamiętające o przeszłości środowisko historyków myśli społecznej, okaże się, iż niewielu socjologów bada ją. Orientacja historyczna utrzymała się wprawdzie w tradycyjnie silnej w Polsce refleksji socjologicznej nad inteligencją. Ku historii zwrócił się Stanisław Ossowski, gdy pisał swoją *Strukturę klasową w społecznej świadomości* (Łódź 1957; przedrukowane w *Dziękach*, t. V, Warszawa 1968). Są ta jednak raczej refleksje socjologów nad historią niż prowadzone przez socjologów badania historyczne. Nieprzypadkowo też historycy zgłosili z czasem duże zastrzeżenia do twierdzeń, będących w gruncie rzeczy hipotezami, Józefa Chałasińskiego o inteligencji. Sam jako historyk mam zastrzeżenia do powołanej książki Ossowskiego (dowolność doboru przykładów w serii analizowanych zjawisk, dowolność określenia przedmiotu analizy).

Sprawa jest szersza. Także dla znacznej części amerykańskiej „socjologii historycznej” typowa jest refleksja nad czasami minionymi w miejsce refleksji połączonej z bezpośrednim badaniem *sensu stricto* historycznym (źródłowym ustalaniem przebiegu zjawisk). Skocpol wprost stwierdziła w powoływanej książce (s. XIV), że komparatysta nie ma ani czasu, ani, najczęściej, umiejętności prowadzenia badań podstawowych; jego praca zaczyna się, gdy specjaliści zgromadzą już podstawowy zasób ustaleń. Choć stwierdzenie to wydaje się logiczne, to przecież wyrażająca się w nim postawa grozi niebezpieczeństwem pozostania badacza w dużej odległości od rozpatrywanej rzeczywistości. Bezpośrednie, źródłowe przebadanie przez autora choćby tylko jej fragmentu urealistycznia obraz. Z własnego doświadczenia wiem, jak bardzo sprowadzało mnie nieraz na ziemię przegłądanie źródeł, nawet jeśli nie wchodziły one wprost, z odwołaniami i cytowaniem, do analizy, którą prowadziłem. Ponieważ rzeczywiście na przeszkodzie badaniu źródłowemu nieraz stoi brak odpowiednich kwalifikacji socjologa, przyszłość socjologii historycznej uzależniam od uwzględnienia jej potrzeb w programach studiów. Niezłe też owocują unie personalne: *Początki klasy robotniczej* Niny Assorodobraj (socjologa) pisane były przy pełnym opanowaniu przez autorkę rzemiosła historycznego. Wspominana wyżej Ewa Morawska i nie wspominamy dotychczas Jerzy Jedlicki (*Klejnot i bariery społeczne*, PWN, Warszawa 1968) są zarówno historykami, jak i socjologami, co znalazło jakże korzystny wyraz w ich książkach. Niezłe może też działać unia obu zawodów w ramach jednej instytucji.

Przykładem Instytut Badań Polonijnych UJ w Krakowie, gdzie ku aktywnym badaniom historycznym zwracają się nieraz także socjologowie. Jest to wynikiem zarówno wspomnianych wyżej — może wynikających z samej natury badanego przedmiotu — tendencji światowej i polskiej socjologii migracji, jak interdyscyplinarności mocno akcentowanej w samej koncepcji Instytutu. Niestety jest to jednak także wynik ubóstwa możliwości prowadzenia badań terenowych wśród Polonii, z którego to powodu autorzy prowadzonych u nas badań polonijnych często dokonują „rezygnacyjnego” zwrotu ku historii.

Co może dać socjologia historykom? Bodziec do tworzenia uogólnień i twierdzenia do weryfikacji. Możliwie precyzyjne pojęcia z zakresu nauk społecznych, a może raczej świadomość ich nieprecyzyjności. Przez przypomnienie zjawisk, którymi się zajmuje i kategorii, którymi operuje, może zwrócić uwagę historyków na zjawiska i kategorie przez nich mało bądź nieprecyzyjnie postrzegane (dobrym przykładem pozytywnego potencjalnego oddziaływania w tym zakresie w ostatnim czasie było zorganizowanie w 1985 r. przez Oddział Warszawski PTS sesji pt. „Wokół problematyki pokoleń”). Może dać nam jednak także spojrzenie z zewnątrz na nas samych w ramach swoistej socjologii historii (nie mylić z socjologią historyczną!). Może nam uświadamiać społeczne uwarunkowania badań, wiedzy i świadomości historycznej, wybijać nas z tendencji do patrzenia na historię jak na zobiektywizowaną — na podobieństwo nauk przyrodniczych — wiedzę. Jest to swoista zapłata za przypominanie przez historyków społeczeństwu jako całości i socjologom w szczególności, że każdorazowy stan społeczeństwa jest przejściowy, że ustalane przez socjologów prawidłowości mają czasowe ograniczenia. Na tym mariażu obie strony mogą tylko wygrać, zwłaszcza gdy obie mają podobny cel: służyć społeczeństwu w jego dążeniu do panowania nad własnym losem, dopomagać mu w wyzbyciu się przekonania, iż każdorazowy układ spraw jest odwieczny, wieczny i prawidłowy. Historycy, a przynajmniej niektórzy z nich, są tego zadania świadomi, czego dowodem (i przykładem zarazem) mała książeczka historyków meksykańskich *Po co nam historia?* (PIW, Warszawa 1985).

Sądzę, że w przyszłości proces zbliżania się historii i socjologii będzie postępował. Chciałbym tego, jak również umocnienia się „socjologii historycznej” („historii socjologizującej”). Chciałbym, aby historycy stawiając pytania wychodzili od problemów i szli ku uogólnieniom, zaś socjologowie weryfikowali swe teorie na materiale historycznym dawniejszym i współczesnym; by jedni i drudzy znali wzajemne sposoby myślenia i techniki badawcze w stopniu umożliwiającym, jeśli nie perfekcyjne ich stosowanie, to przynajmniej umiejętność posłużenia się nimi. Tylko taka, wspólnie tworzona nauka, będzie miała rzeczywiste prawo do nazwy „wiedza o społeczeństwie” (socjologia).

Wiem jednocześnie, że w praktyce głębsze zbliżenie się historii do socjologii jest trudne. W jednym z wspomnień opublikowanych po śmierci Fernanda Braudela przypominano jak bardzo ten historyk był świadomy trudności znalezienia drogi „pomiędzy Scyllą ahistorycznego uogólnienia a Charybdą odtwarzania miażdżonego biegu wydarzeń”. „Niektórzy badacze — kontynuował autor wspomnienia — dumnie siedzą na którejś ze skał, zwycięsko głosząc dotarcie do krynicy

prawdy. Inni, znęcani syrenimi głosami, roztrzaskują się bezpowrotnie. Przepływają nieliczni" („Review”, tom IX, 1986, nr 3, s. 323). Pamiętając o obawach uczonego, który położył tak wielkie zasługi dla integracji nauk społecznych, zakończmy jednak niniejszy wywód nutą optymizmu. Między historią a socjologią powstają pola uprawiane wspólnie. „Maison des Sciences de l’Homme” zbudowany przez Braudela w Paryżu na Bulwarze Raspail — symbol jego dążenia do zbliżenia dyscyplin, mający służyć temu celowi już chociażby przez sam fakt umożliwienia spotykania się w jednym miejscu badaczy różnej proweniencji zawodowej — stoi mocno*.

* Szybki w naszych czasach bieg historii wyprzedził cykl produkcyjny „Dziejów Najnowszych” i zdezaktualizował niektóre ze spraw poruszonych przez Marcina Kulę. Aktualna pozostaje przecież podstawowa kwestia organizacji nauki historycznej, w tym kształtu Instytutu Historii PAN. Do dyskusji nad nią serdecznie zapraszamy Czytelników, traktując publikowaną wypowiedź jako pierwszy głos.

Redakcja